

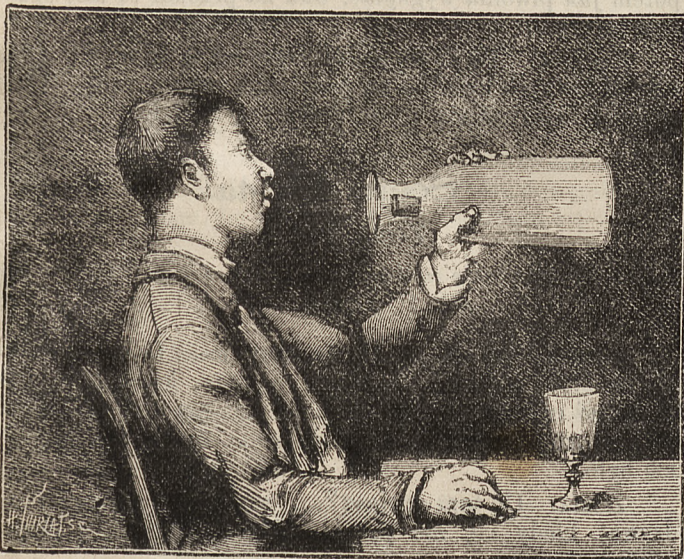


## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowineyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Weźmy butelkę z szeroką szyjką, zazwyczaj do przechowania kompotów używaną, włóżmy do niej korek w taki sposób, jak na rycinie, ażeby się znajdował niedaleko otworu. A teraz poprośmy kogo, żeby dmuchając w butelkę, korek popchnął do środka. Niejednemu wyda się to rzeczą bardzo prostą i łatwą, zacznie dmuchać z całej siły, i spotka go zabawna niespodzianka. Korek wcale nie będzie wepchnięty na dno butelki, lecz wyleci z niej, jakby siłą jakąś wewnętrzną wysadzony i może uderzyć w twarz dmuchającego.

Przyczyna zjawiska łatwa do wyjaśnienia. Dmuchiwanie wypycha do butelki większą ilość powietrza, które staje się gęstsze i ściśnięte będąc w téj ciasnej przestrzeni, zaczyna się rozprężać coraz gwałtowniej, usiłuje wydobyć się z więzienia. Tym sposobem wypycha korek, stojący mu na zawadzie. Zabawne to doświadczenie wykazuje doskonale prawo rozprężliwości gazów, którego objawem najpospoliciej znanym jest para i wszelkie parowe przyrządy!

### KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

Obrazek sceniczny w 1-ym akcie,

PRZEZ

H. Chr.

### OSOBY.

PANI K.

PANNA ANNA, nauczycielka.

ZOSIA, lat 14 $\frac{1}{2}$  } córki pani K.

STEFICJA, lat 13 }

EMILKA, lat 14 siostrzenica pani K.

JAGUSIA, dziewczyna do posług.

Rzecz dzieje się na wsi.

(Scena przedstawia pokój obszerny, jedne drzwi w głębi, drugie na prawo, z lewej strony okno, przy niem sofa z poduszkami; dalej mały stolik z dużym wazonem na kwiaty. Po prawej stronie komoda, na niej drugi taki sam wazon, szkatułka



i drobne sprząciki. Na środku pokoju stół, na nim kilka książek, kajetów i przyrządów do pisania. Koło stołu cztery krzeselka wsunięte).

### Scena I-a.

ZOSIA (*siada na sofie oparta o poduszkę z książką na kolanach*). Jak jestem śpiąc... lekcyi dziś nie będzie, a tak mnie wcześniej zbudzili. Żeby choć Emilka i Stefcia ze mną były, ale od śniadania gdzieś znikły, ani tu zajrzą. Ciekawam, czy na te dzisiejsze imieniny mają już wszystko gotowe... (*po chwili*). Wstyd mi trochę, że przed panną Anną z pustemi stanę rękami... lecz cóż mogłam zrobić? (*przymyka oczy*).

### Scena II-ga.

ZOSIA, EMILKA (*wchodzi z półarkuszem papieru w ręku*).

EMILKA. Cóżto, dosypiasz jeszcze siostrzyczko?

ZOSIA (*prostując się*). Ej nie, ale nudzi mnie to długie oczekiwanie; panna Anna z kościoła nie wraca, a dopiero po skończonej ceremonii życzeń, czuć się będą swobodną.

EMILKA. O! niech nie wraca nasza kochana pani, mam jeszcze coś dopełnić w mojem powinszowaniu.

ZOSIA. Jakto? nie napisałaś jeszcze? ty zawsze tak pośpieszna, cóż ci się stało?

EMILKA (*siada przy stole, piór próbuje*). Pomagałam Stefcii wykończyć dla panny Anny pantofelek do zegarka, z którym nie mogła sobie biedaczka dać rady (*pisze*). Ale i mnie już niewiele brakuje; idzie tylko o podpis i datę.

ZOSIA. Ja nie miałam czasu nic zrobić; musiałam spieszyć się z odrysowaniem widoku Ojcowa dla stryjcia, który mi za to obiecał przywieźć album.

EMILKA. Otóż i moje powinszowanie wykończone (*przygląda się*). Mam nadzieję że mój widoczek zdjęty z natury, sprawi przyjemność pannie Annie.

ZOSIA (*ponstawszy z sofki przypatruje się*). Prawda, ślicznie odrysowałaś tę kapliczkę a i drzewka ją otaczające doskonale odrobione.

EMILKA (*ruszając ramionami*). Szkoda Zosiu, że i ty nie przygotowałaś czego dla panny Anny.

ZOSIA. Żałuję teraz... lecz wiem, że moja robota zawsze zganioną bywa, gdy przeciwnie co ty zrobisz, wszyscy chwala.

EMILKA. Co też ty mówisz Zosiu!

ZOSIA. Tak jest, tylko nie wiem, czem się to dzieje, bo kiedy jestem starsza od ciebie, to mnie się przecie należą pochwały, a tymczasem słyszę ciągle strofowanie.

EMILKA. Jeżeli cię twoja mama i panna Anna częściej napominają, to dlatego, że chcą żebyś była doskonałą.

ZOSIA (*ruszając ramionami*). Dobra mi tam doskonałość, od której aż uszy puchną!

EMILKA (*wesoło*). Jesteś dziś Zosiu nie w humorze.

ZOSIA (*odsuwając się*). Tak, wszystko mnie dziś gniewa. Na siebie zła jestem, że nic nie daję pannie Annie i na ciebie, że jeszcze oglądasz swój widoczek.

EMILKA. Bo chciałabym, żeby choć ten rysunek zadowolnić pannę Annę, gdyż co do uczuć, tych nie potrafiłam tak wypisać i wyrazić, jakbym tego pragnęła.

ZOSIA. O! panna Anna nie potrzebuje wczytywać się w twoje pismo, a i tak uzna je za arcydzieło.

EMILKA. Jakto Zosiu? czyż nie uważasz, że ona zawsze najdłużej przegląda moje wypracowania?

ZOSIA. Tak, tak, żeby je potem jeszcze więcej chwalić.

EMILKA. Nie mów tego Zosiu, bo mi tem sprawiasz wielką przykrość.

ZOSIA. O! mnieby wcale nie było przykro, gdyby mnie wszyscy chwalili.

EMILKA (*podnosi się z powinszowaniem*). Ej, powiedz mi lepiej siostrzyczko, gdzie schować to mniemane arcydzieło.

ZOSIA. Włóż je do szkatułki naszej.

EMILKA (*przymierzając*). Nie można, za duży arkusz.

ZOSIA. To wsuń pod ten kajet.

EMILKA (*próbując*). Nie da się, brzegi wystają. Panna Anna spostrzeże wpraw, nim jęj podam i przestanie to być niespodzianką.

ZOSIA. Tyle ambarasu sobie robisz z tym papierem. zwiń w trąbkę i włóż do którego wazonu.

EMILKA. Wyborny pomysł, dziękuję ci Zosiu (*kładzie w rulon zwinięty arkusz do wazonu stojącego na stoliczku*). Tu mu będzie dobrze. Ani go widać. A teraz pójdźmy do ogrodu po kwiaty, panna Anna tak je lubi!

### Scena III-cia.

TEŻ SAME, JAGUSIA (*ubrana po wiejsku ze ściereczką w ręku*).

JAGUSIA. Pani prosi, żeby starsza panienska przyszła do kuchni, i pomogła Katarzynie upiec jakieś tam ciastka i coś tam jeszcze na dzisiejszy bal przygotować, bo się goście zjadą, a pani pisze listy do Warszawy.

ZOSIA, EMILKA (*razem*). Alboż to Ludwika niema, żeby piekł ciasto?

JAGUSIA (*rozkładając rękanie*). Ha! Ludwik jak raz się dziś rozchorowali, nie będą mogli przyjść do dwora, a Katarzyna nie da sama rady, bo nie wie jak się wziąć do tego i panna Zofia musi iść do kuchni.

ZOSIA (*niechętnie*). Nie mógł też jutro, ten nieznośny Ludwik zachorować, nie dziś kiedy się gości spodziewamy.

EMILKA (*wesoło*). O! gdyby mógł chorobę odkładać, to by ją pewnie odłożył na zawsze.

ZOSIA. No tak, ale będę się musiała piec w kuchni i potem jak piwonია wyglądać. Jak na przekor to mój tydzień gospodarstwa.

EMILKA. To ja cię Zosiu wyręcę, a ty idź do ogrodu, przynieś ładnych kwiatów na bukiet dla panny Anny. Biegne do cioci dowiedzieć się, co to trzeba przyrządzić.

### Scena IV-ta.

ZOSIA, JAGUSIA.

(*Zosia wzięwszy książkę ze stołu, siada na sofie i czyta; Jagusia ściera kurze*).

JAGUSIA (*do siebie*). O, to istny janiol ta panna Emilia, cota za złote serce!... każdemu pomoże, każdego wyręczy. Niema też człowieka we dworze, coby za nią w ogień nie wskoczył; do rany przyłoż takie to dobre... żebyć ino więcej takich było.

ZOSIA. Co tam gadasz?... wiesz, żeś nie powinna się odzywać kiedy cię nie pytają. Idź do ogrodu i przynieś kwiatów.

JAGUSIA. Kiedy panna Emilia prosiła, żeby panienska sama poszła.

ZOSIA. Zapewne (*spogląda na swoje obuwie i sukienkę obciąga*). Żebym nowe buciki zarosiła a i suknię musiałabym podnosić, bo przecież nie mam takiej krótkiej jak Stefcia.

JAGUSIA. Ale mnie ogrodnik Józef nie dadzą zrywać ze klombu gdzie są ładne kwiatki, ani do oranżeryi nie puszczą, a tam kole sadzawki wedle ścieżki, same ino wybirki.

ZOSIA. Przynieś, kiedy ci każe i włóż do tego wazonu, rozumiesz, do tego wazonu? (*wskazuje wazon na komodzie*). Tylko nie zapomnij wody nalać jak w niedzielę, co wszystkie kwiaty do wieczora powiędły.

JAGUSIA. Ale to pannie Emilii będzie przykro, jak będą brzydkie kwiaty.



Scena IX-ta.

JAGUSIA, P. ANNA.

P. ANNA (*zdejmuje kapelusz i kładzie razem z książką od nabożeństwa i parasolką na komodzie*). A! jaki piękny bukiet!

JAGUSIA. To panna Emilia kazała najpiękniejszych kwiatów dla pani przynieść.

P. ANNA. Dobrze, nieocenione serce! (*zdejmuje rękawiczki*).

JAGUSIA (*obejmuje za kolana p. Annę*). I ja też proszę pani... (*chrząka i kręci fartuszek w rękach*). O... jak to się zaczynało?... a, wiem już, wiem... ja pani życzę zdrowia, szczęścia, fortuny, a w niebie koruny! (*na stronie*). Ślicznie mi się udało.

P. ANNA (*wesoło*). Dziękuję ci moja Jagusiu, żeś się takiego powinszowania dla mnie nauczyła.

JAGUSIA (*klaniając się ręką do ziemi*). Ja jeszcze pani dziękuję, że mnie pani czytania i katechizmu uczy... bo dotąd żyłam na świecie, nie wiedząc na co mnie Pan Bóg stworzył; aż strach pomyśleć...

P. ANNA. Dobrze że widzisz w tem swój pożytek, ale trzeba być coraz więcej rolgarniętą i uważną jak ci każą co robić...

JAGUSIA. Już ja się tak staram, żeby wszystko ino dobrze było, żeby bezemnie nie było szkody trafunkiem.

P. ANNA. Tak, trzeba wszystko robić uważnie.

Scena X-ta i ostatnia.

TEŻ SAME, PANI K., STEFCIA, EMILKA, ZOSIA (*staje na uboczu*).

PANI K. Dzień dobry, kochana pani! przychodzę z moimi dziewczętami złożyć pani najserdeczniejsze życzenia (*całuje pannę Annę*) i wynurzyć wdzięczność, jaką...

EMILKA (*która wszedłszy do pokoju, zaraz zajrzała do próżnego wazonu na stolyczku, potem pobiegła do komody i podniósłszy bukiet woła*). Ach! mój Boże!

PANI K., P. ANNA (*razem*). Co ci jest Emilko? co ci się stało?

EMILKA (*łamiąc ręce*). Na nic moje powinszowanie, na nic mój rysunek!

JAGUSIA. O Boże! cóż to pannie Emilii?

STEF CIA (*która też pobiegła do wazonu*). To prawdziwe nieszczęście! jedno i drugie zniszczone.

ZOSIA (*na stronie*). Ach! mój mój Boże, cóż ja zrobiłam.

PANI K. Cóż się stało? powiedzcie co to znaczy?

STEF CIA. To proszę mamy... (*wahając się*) to widać Jagusia wody nalala, tu gdzie był rysunek Emilki i gdzie ja...

PANI K. (*do Jagusi*). Któż tu kwiaty i wodę przyniósł?

JAGUSIA (*przerażona*). Ja proszę pani... ale to mnie...

PANI K. (*z powagą*). Zawsześ nieuważna, jużes tyle razy szkodę zrobiła; dłużej nie mogę cię przy dworze zostawić, pójdziesz na folwark do pomocy stariej Franciszce.

EMILKA. Niech ciocia Jagusi nie odprawia, to moja вина, że sama kwiatów nie przyniosłam. Ale jak się to stało, bo ja chyba do tamtego wazonu swój rysunek włożyłam... Zosiu, czy ty nie pamiętasz?

ZOSIA (*pośpiesznie*). Powinnaś sama najlepiej pamiętać.

EMILKA. Doprawdy! przypomnieć sobie nie mogę, tak jestem tą stratą zmartwiona. Tak chciałam zrobić pani przyjemność (*całuje w rękę pannę Annę*).

P. ANNA. Znam twoje serce Emilko, to mi wystarcza, innych dowodów nie potrzebuję; zresztą może ten rysunek nie bardzo się uszkodził. (*wyjmuje z wazonu obydwu rysunki, Zosi widoczek był wewnątrz, więc arkuusz Emilki pokazuje się mniej zmoczonym*). A to znów czyje?

ZOSIA (*podbiegając*). A! to mój widoczek!... zkąd się tu wziął... Przepadnie moje album...

ZOSIA. Powiedziałam ci raz, żebyś poszła to dosyć, tu niema panny Emilii; ja ci każę i koniec.

JAGUSIA (*ruszając ramionami*). Panna Emilia nigdy tak nie krzyczy, a każdy ją słucha (*odchodzi*).

Scena V-ta.

ZOSIA (*sama*).

ZOSIA (*chodzi po pokoju*). A to dopiero!... Doprawdy, gdybym nie kochała Emilki, mogłabym ją znieawidzieć... od rana do wieczora nie nie słyszę tylko: panna Emilia dobra, panna Emilia kochana, Emilka się dobrze uczy... Zaczawszy od mamy wszyscy jakby się zmówili... A najwięcej mnie gniewa ta dziewczyna... Z litości przez mamę wzięta i śmie mi przyganiać. Znosić jej już nie mogę (*zatrzymuje się przed stolikiem*). Wiem co zrobić, przełożę tu rysunek Emilki, niech go Jagusia wodą obleje, połaje ją mama za to choć raz dobrze (*bierze rysunek i przechodzi z nim do komody*). Nie, to szkaradnie byłoby z mojej strony (*cofa się*)... Szkoda pracy Emilki jej przykrośbym tem sprawiła... nie, tego nie zrobię... (*waha się*). Tak, ale ją znów dziś wszyscy chwalić będą, i mój rysunek straci przy jej robocie... niech raz przecie mój widoczek będzie lepszy, moja robota pochwalona. (*zwinęty rulon przykłada do wazonu i cofa*). Nie... żal mi Emilki, nie mam odwagi... Jednakby i Jagusię trzeba ukarać (*słychać kroki za sceną*). Ach! ktoś idzie... może panna Anna (*wpuszcza rulon do wazonu*). Stało się... uciekam.

Scena VI-ta.

STEF CIA (*wbiega drzwiami przeciwnymi, trzymając półarkuszek brystolu w ręku*).

STEF CIA. Gdzież się podziała?... ani wie, w jakim nie porządku był jej rysunek Ojcowa... jaki był zakurzony! (*przygląda się*). Ale go Emilka wydmuchała starannie, ani znać teraz... Gdzież go schowam? (*przysuwa się do komody*). A! powinszowanie Emilki; to i ten włożę, tu będzie bezpieczny (*zwinęta i wsuwa do wazonu*). Szczęściem, mój pantofelek skończony, wisi już nad łóżkiem panny Anny, na pięknym dywanie, który mama od siebie ofiarowała. Wprawdzie mojej roboty Emilka większą połowę zrobiła, ale ona mnie nie wyda, a ja później sama się pani przyznam, bo to nieładnie cudzą pracą się chwalić.

Scena VII-a.

STEF CIA, JAGUSIA.

JAGUSIA (*z garnuszkami wody w jednej ręce, z bukietem w drugiej wchodzi drzwiami na prawo*). Panienko, panienko, panna Anna z kościoła już idzie...

STEF CIA. Panna Anna idzie! dobrze, dobrze, nie mam czasu, biegnę po mamę i po siostry.

Scena VIII-a.

JAGUSIA SAMA.

JAGUSIA (*patrząc za odchodzącą, wlewa wodę do wazonu na komodzie stojącego, poczem bukiet weń kładzie*). I to dobre paniątko, ale nie to co panna Emilia... Chwała Bogu, Józef mi zaraz dali samych ślicznych kwiatów kiedy powiedziałam, że to panna Emilia kazała przynieść... (*poprawia bukiet*). O, czegoś się nie chce trzymać prosto... No, i ja się przecie na te jemienniny wyuczylam więszowania, bez trzy dni Katarzyna mi przepowiadała ciągle... żebym ino jakiego wyraziku nie zabaczyła (*bierze się za głowę*), bo to człowiek chował się nie przymierzając jak w lesie, to uczenie ciężko idzie.



PANI K. Jako? Co za album? Wytlómacz Zosiu co to znaczy?

ZOSIA (*zmięszana*). Ja nie... nie... chciałam powiedzieć, że może... że to ktoś... że pewnie Jagusia mój tu włożyła...

PANI K. Mów Zosiu wyraźnie, bo cię nikt nie rozumie; samo się to nie zrobiło, ktoś winien być musi; jeżeli Jagusia, to zasłużoną odniesie karę.

JAGUSIA (*zasłaniając oczy fartuszkiem szłocha*). Ja nie... do prawdy... bo to panna...

STEFCIA. Proszę mamy, to nie Jagusi winna.

ZOSIA (*niespokojnie*). Jakże wiesz, że to nie ona?

STEFCIA. Wiem, bo po części to się przezemnie stało.

PANI K. To powiedz coś zrobiła, bo końca tej sprawie dziś nie będzie.

STEFCIA. A to proszę mamy, Emilka idąc do spiżarni spostrzegła w garderobie za walizką, Zosi rysunek całkiem zapyłony...

ZOSIA. Skąd się tam mógł wziąć kiedy ja go...

PANI K. Nie przerywaj Stefci, niech mówi dalej.

STEFCIA. Skąd się wziął ja nie wiem; pewnie, zamiast go schować, zostawiłaś na wierzchu i spadł za walizkę, dość, że go Emilka ztamtąd wydożyła, wydmuchała z kurzu i kazała mi odnieść do naszego pokoju. Przyszędłszy, zobaczyłam tu w wazonie powinszowanie Emilki i sądząc, że miejsce bezpieczne wsunęłam tu i rysunek Zosi. Potem dopiero wbiegła Jagusia z wodą i bukietem, i mnie wcale nie przyszło do głowy ostrzedz ją, żeby tu nie nalewała, więc to nie jej wina.

ZOSIA (*na stronie*). Zawstydz mnie przypisując to sobie, kiedy ja sprawczynią wszystkiego.

PANI K. Zawsze Jagusi wina, bo szkodę zrobiła, i dopóki nie przyuczysz się być uważniejszą, dopóty zostanie na folwarku.

ZOSIA (*na stronie*). Trzebaby się przyznać a nie mam odwagi.

P. ANNA (*do płaczącej Jagusi*). Jakże też mogłaś Jagusiu nie zajrzeć do wazonu?

JAGUSIA (*przerzywanym głosem*). Nie zaglądałam proszę pani, bo panna Zofia sama, że trzy razy tu mi kazała wsadzić kwiaty, więc mi bez głowę nie przeszło, żeby tam co było (*placze*).

PANI K. (*do Zosi stojącej ze spuszczoną głową*). Zosiu, tyś kazała tu kwiaty włożyć, tyś kazała to zrobić? Któż tedy winien?

ZOSIA (*na stronie*). Boże mój! mam na com zasłużyła.

PANI K. Zosiu, cała twoja powierzchowność pokazuje że cię jakaś nieszczęsna myśl, do tego nieszlachetnego popchnęła czynu. Czyż nie wiesz, że zatajenie winy i spędzanie jej na drugich, w dwójnasób ją powiększa?

ZOSIA (*po chwili wahania składając ręce*). Tak, to ja mam... ja to zrobiłam... przyznaję się i aż nadto jestem ukarana, nie tylko własną szkodą lecz i przykrością wyrządzoną Emilce. Przyrzekam droga mamu poprawę... obiecuję odtąd najusilniej korzystać z twoich i panny Anny rad i napomnień... Czy mi tylko Emilka daruje?

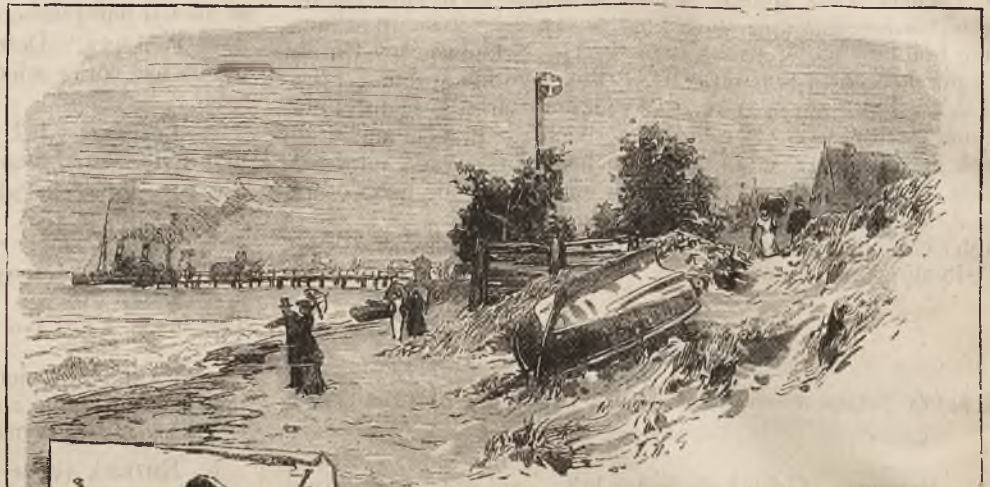
EMILKA (*obejmując ją w pól*). O! z całego serca, ja cię tak Kocham Zosiu.

PANI K. A teraz przeproś pannę Annę, że zamiast uprzyjemnić dzień jej imienin, wywołałaś swoim postępkami tak niemiłe zajście.

ZOSIA (*całując ręce panny Anny*). Niech mi pani przebaczy, obiecuję od dnia dzisiejszego dokładać wszelkich starań, żeby pani ze mnie, tak jak z Emilki była zadowolona.

P. ANNA (*całuje Zosię w czoło*). Chętnie ci przebaczam moja Zosiu i cieszyć się będę, jeżeli ten dzień, będzie istotnie dniem twojej poprawy.

ZOSIA (*wahająco zwraca się do Jagusi*). I ciebie przepraszam Jagusiu, boś przezemnie płakała, czy nie będziesz mi tego pamiętać?



Skodsberg.

JAGUSIA. Niech ta Bóg broni, żebym miała pamiętać, kiedy panny Emilii suche rysowanie.

STEFCIA (*wesoło do Zosi*). A cóż znaczyło Zosiu album, które ci przypadło?

PANI K. Prawda Zosiu, cóż to za album?

ZOSIA (*nieśmiało*). To proszę mamy, za ten widoczek Ojcowo stryjcio obiecał mi kupić czego sobie najwięcej życzę; a że ja, że ja pragnęłam albumu wilanowskiego, więc mi przyrzekł, że... To też jeżeli panna Anna będzie łaskawą znów mi dopomóż, odrysuję drugi raz to samo, ale poproszę stryja o album Wilanowa dla Emilki, bo bardzo także mieć je pragnęła...

EMILKA. Jakaś ty dobra Zosiu!

ZOSIA. Nie nazywaj mnie dobrą; jeszcze nie zasługuję na tę nazwę, lecz postaram się poprawić, pamiętając na dzisiejszą moją przygodę...

STEFCIA. A teraz, kiedy się wszystko skończyło, nie wypada jak tylko dobrze pamiętać że:

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

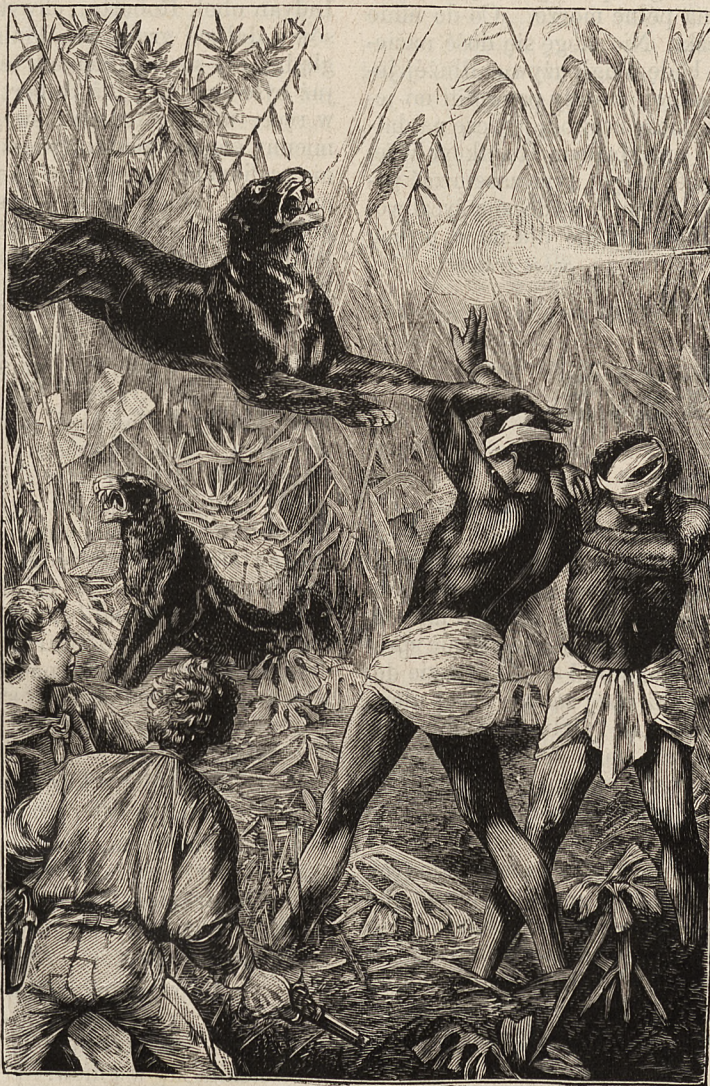
Zachęcony łaskawem przyjęciem mego opowiadania Islandczyka, przysyłam znów Redakcyi Wieczorów Rodzin-



nych opis miejscowości, w której obecnie przebywam chwilowo w gościnie u krewnego, zamieszkałego w Danii.

Skodsberg, którego widoczek załączam, jest bardzo pięknym miejscem kąpiel morskich, przepelnionem letnią porą mieszkańcami pobliskiej Kopenhagi, stolicy duńskiego państwa, leżącej jak wiadomo na wyspie Zelandyi, znajdującej się pomiędzy cieśniną Zundem i Wielkim Bełtem. Kopenhaga, piękne i warowne miasto nad Zundem, oddzielona jest od wy-

mniej wesoło, a daleko hałaśliwiej biegają po całych dniach w lecie, tłumy dzieci na wyścigi ze starszymi, gdyż odbywają się tu zabawy ludowe. Kuglarze, huśtawki, młyny, karuzele, dodają wesołości, a liczne stragany, namiociki, sklepiki przenośne, zaopatrzone obficie w przeróżne przysmaki, posilają rozbawionych gości stołecznych. Niektórzy nie poprzestając na tych ziemskich uciechach wsiadają w łódki i próbują *morskich* przyjemności. Minąwszy Taarbäck dopływają do Skod-



Zwierzę ukazało się i spadło...

spy Amager wąską cieśniną tworzącą port doskonały, i otoczona zewsząd przesłicznymi okolicami pełnymi wiosek, willi i zamków wspaniałych, bujną ozdobionych zielenią. Jest tego tak wiele i tak się to wszystko z sobą jednoczy, jakby w jeden wianek splecione, że cudzoziemiec niełatwo rozpozna, oddalwszy się już znacznie od miasta, iż stolicę opuścił. Jadąc wybrzeżem Zundu, znajdziemy się w kąpielach morskich Klampenborg, przesłiczna także miejscowość z przepysznym ogromnym parkiem, urządzonym w tarasach na stoku wzgórze z pięknym zamkiem na szczycie. Jest tam zwierzyńiec pełen skaczących wesoło zwierząt, ale w oddzielnej części parku nie

borga, który przedstawia rycina. W tem ustroniu mniej jest wrzawy; to też wesoły ludek niedługo tam bawi., przyjrząwszy się tonącym w bogatej roślinności dworkom zamożnych mieszkańców stolicy, szukających tu w lecie pożądanego sił pokrzepienia, przy niemniej miłych choć mniej głośnych rozrywkach.

Niedaleko ztamtąd znajduje się miasto portowe Helsingör z zamkiem Kronsborg, u stóp którego leży płyta kamienna uznana ogólnie za grobowiec Hamleta, królewicza duńskiego, bohatera tragedyi sławnego angielskiego poety Szekspira. Podanie o tym nieszczęsnym królewiczu tak się zrosło z wierzenia-



mi ludu, że strażnicy na tarasach zamkowych mówią, iż widują ukazującego się ducha zamordowanego niegdyś księcia i nikt o tem nie wątpi, jakkolwiek niema takiego ktoby miał zaszczyt osobiście mu spojrzeć w oczy. W podziemiach niezmiernie głębokich tegoż zamku, podanie ludowe umieściło również *Holer Danské*, dobrego ducha Danii. W piękne dni letnie przejażdżki łodziami do Kronsborga po spokojnych wodach Sundu, wśród uroczych kwitnących wybrzeży, należą do najmiłszych rozrywek letnich mieszkańców, a raczej *kapielników* w Skodsborg'u.

Dostarczycielem innego rodzaju przyjemności ulubionój Duńczykom jest przedstawiony na tejże rycinie poławiacz raków... Chwyta on je w urządzony potemu worek siatkowy i na połowie tym, dnie nieraz całe pędza. Zresztą wszyscy tutaj bawią się jak chcą, jedni odbywają długie spacery na lądzie, inni w wielkich łodziach wyjeżdżają na pełne morze. Co do mnie to najmiłszymi są morskie wycieczki. Nie mogę się dość nacieszyć widokiem morza. Może też będę mógł używać dłużej jeszcze tej przyjemności, bo rodzice moi, którzy pozwolili mijechać do Danii z kochanym wujem, może zezwolą jeszcze na dalszą z nim podróż, a wtedy znów przysłałbym Redakcyi Wieszczorów opis tego, coby mię najwięcej zajęło, tymczasem zaś pozostaje z winnem dla nięj uszanowaniem, a serdeczną życzliwością dla kolegów moich, czytelników miłego dla mnie pisma.

*Soból Irkucki.*

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

-- Co to być może?

— Najgroźniejsze zwierze mniej jest dla nas w tej chwili niebezpieczne niż człowiek: wszyscy stać w miejscu w gotowości do obrony! trzech niech idzie przetrząść zarośla natychmiast, zanim podpatrujący nas ztamtąd nieprzyjaciel nie sprowadzi nam na kark kilkuset swoich ziomków! — Thorn nie dokończył jeszcze słów powyższych, a już trzej żądani przez niego ochotnicy szli ku podejrzanemu miejscu. Byli to: Rahib, Mahora i Robert. Jerzy ruszył także, ale spostrzegłszy, że „trzech” już poszło stanął w miejscu, pełniąc skrupulatnie rozkaz dowódcy, bez opieszłości i bez zbytniej, tak często szkodliwej gorliwości.

Uderzającą jest rzeczą, jak szybko w wielu młodych ludziach rozwija się najniespodziewaniej zmysł bojowy, gdy tylko stawia ich losy w obec niebezpieczeństwa. Oto i teraz czterej młodzi Europejczycy wyćwiczeni wprawdzie w robieniu bronią i użyciu broni palnej jak również karności domowej, stawali się nagle i od razu żołnierzami, pojmując z gruntu zasadę i podstawę strategii wojennej, to jest posłuszeństwo rozkazom wodza.

Widząc że trzej wyznaczeni do przetrząśnienia zarośli już idą, Jerzy stanął. Tamci trzej szli tym elastycznym właściwym Indianom krokiem, który podobny jest bardzo do tak zwanego „kroku gimnastycznego”. W zaroślach do których zmierzali, dał się słyszeć nagle lekki trzask łamanych suchych gałęzi:

— Indyanie!... — wionęło jak wiatr w gromadce Europejczyków. Rahib w tej chwili odgarnął kolbą gestwinę młodocianych gestych pędów, patrząc prosto przed siebie w przekonaniu, że ujrzy swego ziomka... ale na wysokość jego oczu nikogo nie było. U nóg tylko, na stosie zmiętej trawy, liści i gałązek leżały dwa nieduże stworzenia w kocięj postawie, przypominającej także trochę zwykłą postawę wpeł leżącego z podwinętymi pod siebie nóżkami baranka, oba jasno żółtej barwy z ciemnymi na grzbiecie pierścionkami.

— Baczność!... to legowisko pantery!... — szepnął Rahib.

— To niemowlęta... matka musi być blisko... — dodał

Mahora śledząc błyszczącymi oczami gestwinę. Jedno z dwojga „niemowląt” powstało równocześnie, wydając krótki ostry krzyk, niepodobny do żadnego ze znanych na starym świecie odgłosów.

— Baczność! — zawołał obadwaj Indianie, a w tejże chwili dał się słyszeć szelest nad głowami trzech ludzi i na jedną sekundę, żółtawe zwierze z rozpostartymi szponami i cienkim odsadzonym ogonem, a paszczą rozwartą i ziejącą, ukazało się jak ptak ogromny, zawisłe w powietrzu, skutkiem potężnego skoku z jakiegoś sąsiedniego drzewa, ukazało się i spadło... ale spadło ciężko jak głaz, już przy odgłosie podwójnego wystrzału, bo dobry strzelec zawsze do strzału jest gotowy.

— Stój! Robert!

— Stój!... to pantera! — zawołało jednocześnie dwóch Indian obok Roberta, chwytających za pistolety i kilka głosów z dalszej grupy w oddaleniu kilkudziesięciu kroków przyglądającej się ze drżeniem temu niespodzianemu zajściu. Ale już było zapóźno, już Robert rzuciwszy strzelbę, z rewolwerem w ręce, ufnym w trafność swego poprzedniego strzału i w kamienny ciężar upadku zwierzęcia, dowodzący że było śmiertelnie trafionem, skoczył ku panterze tak szybko, że ruchem tym uprzedził także samo poruszenie Mahory, obadwaj bowiem mieli jedną myśl: korzystać z czasu zanim ranione zwierzę podnieść się zdała. I to właśnie o mało ich nie zgubiło, bo jedno mgnienie oka stracone zostało na starciu się ramion dwóch przeszkadzających sobie wzajem strzelców, pantera zerwała się i skoczyła wszystkimi czterema szponami i zębami wpijając się w piersi i twarz nazbyt młodego, a więc niedoświadczonego strzelca, Roberta. Teraz nikt nie krzyknął, kilku ludzi z oddalszej grupy, pędem biegli już na miejsce wypadku. Ale tymczasem, w tejże sekundzie właśnie gdy potworny kot zatapiał ostre zęby w czole Roberta, ponad którego głową zabłyśły kocie, okrągłe, dzikie, krwią zasłże oczy, Mahora tylko co potrącony ramieniem Roberta, a więc teraz znajdujący się tuż bezpośrednio za nim z podniesionym rewolwerem w ręce, przyłożył go nieledwie do jednego z dwóch tych kocich oczu i wypalił... Głowa drapieżnika cofnęła się natychmiast w tył z rozwartą paszczą od głowy chłopca, potem dzikie zwierze drgając padło na wznak pociągając już tylko własnym ciężarem za sobą swą ofiarę, w której piersi zakrzywione szpony trzymały się jeszcze same przez się, lecz już beznamiętnie...

Była chwila, w której stary Thorn pewien był, że w przeciągu dwudziestu czterech godzin traci drugiego syna.

Ale chwila ta, groźna dla starca, krótko trwała na szczęście, Robert uwolniony za pomocą przyjaciół od strasznych pazurów drapieżnika, zerwał się zalany całą krwią, ale na pierwszy rzut oka widać było że ma oczy obadwa i twarz całą, rozśmiała się nawet... Ale nikt nie śmiał się więcej:

— Bezrozumny zuchwalcze, jak mogłeś się porywać! nie wiesz jeszcze że pantery chybiać nie można!... pod karą śmierci! — zawołał ojciec, którego rozpacz w jednej chwili przemieniła się w gniew.

— Co robicie! szkoda naboju!... — mówił jednocześnie Wilko do swoich dwóch ziomków, którzy bez namysłu, z instynktową nienawiścią, jaka istnieje pomiędzy człowiekiem a kocim rodem w stanie dzikim, zamierzali załatwić się z panterkami-niemowlętami, tak małeńkimi jeszcze, że nie myśląc uciekać kryły się w kącie legowiska, cofając się z dzikiem wejrzeniem, i wcale zresztą nie tuląc się do matki, jakby to z pewnością uczyniły lwiąta. I z temi słowy Wilko z niepojętą zręcznością, dwoma lekkimi poruszeniami ręki uzbrojonej w sznurek, zarzucił pętlę na szyję panterek... ściągnął go jednym szarpnięciem niby od niechcienia... Mahora cofnął się na ten widok, zamieniając z Rahibem pełne zdumienia spojrzenie. Wilko rzucił w krzaki uduszone zwierzątka, odwracając się od współziomków umyślnie... mocno zaczerwieniony...

— Chybiać?... — powtórzył z uśmiechem Robert podając trochę niecierpliwie czoło bratu i Jerzemu opatrującym je mokrą chustką. — Chybiać? a któż ją chybił? Przecież ona upadła, nie skoczyła!... wprzód!



— Jakto! zajęty własnem zuchwalstwem nie zauważyłeś nawet zatem że strzał padł podwójny! Patrz więc, zaraz się dowiesz kto chybił... — to mówiąc, Thorn szybko i wprawnie obejrzał nieżywą panterę przy pomocy Ralfa, jednego ze swych ludzi, strzelca z powołania niegdyś w jego lasach w Anglii, i za chwilę w oczach Roberta i wszystkich, wydobyto najprzód z rany zadanej prosto w serce kulkę, na której widok Robert splonął zdziwiony, spoglądając na karabin Mahory, a gdy potem ojciec sam wydobywszy drugą kulę z dosyć nieznaczącej acz głębokiej rany pod prawą łopatką, podał ten dowód na dłoni niefortunnemu strzelcowi... ten spuścił głowę mocno zawstydzony... Wiedział dobrze, że do pantery strzelając, nie trafić jej *śmiertelnie*, znaczy *chybić*, co na jedno zupełnie wynosi.

— Baczność!... — odezwał się niespodzianie, przeciągły, niski i umyślnie teraz tłumiony głos Edwarda. Chłopak rówieśnik Roberta, i serdecznym z nim związany przyjaźnią nie pobiegł jednak w chwili zajścia z panterą tam gdzie biegli wszyscy, lecz pozostał na wzgórkę wyznaczonym do strażowania. Wszyscy to poczuli, chociaż nie było czasu podnosić faktu w tej chwili, tylko Ralf stary mrukał:

— Otóż młodość rozumna... — Wszyscy stali już pod bronią, cofając się zwolna w gęstwinę z oczyma skierowanymi tam, gdzie patrzył Edward. Wysokie na parę metrów trawy, poruszały się tam żwawo, podłużną bruzdą w kierunku od miasta do lasu, gdzie ukrywali się zbiegowie; ruchoma bruzda zbliżała się chyżo, Edward przykląkł za krzakiem, ukrywając się w ten sposób na swoim stanowisku. Z trawy wybiegł małe indyjski, jak małpka wdrapał się na to samo drzewo mangowe, pysznymi odznaczające się owocami, które wetów dostarczyło Europejczykom, usiadł sobie wygodnie i machając nogami, począł jeść, rozglądając się po okolicy ze swęj wyżyny, zadowolony wyraźnie z samego siebie i z całego świata.

— Widział to kto?... i pókądże to małe żarłoczne licho trzymać nas tu będzie na uwiezi nieruchomych — mruzczeni ukryci w gęstwinie — niepodobna wyjść, bo doniosłby o nas swoim rodzicom i ziomkom... Co tu robić? — Dziwna trochę przygoda przeciągała się, czas mijał, jeden żarłoczny małe bezwiednie, trzymał w szachu dziewiętnastu ludzi uzbrojonych. I ani myślał kończyć ucztę ze smacznych owoców.

— Ależ żarłoczny dzieciak!.. to już jabym chyba się najadał — mrucał John naiwnie. Naraz rozległ się przykry krzyk pawia...

— Mahora!... — pomyślał ten i ów pojmując słusznie ten głos jako ostrzeżenie. Mały łakomiec na drzewie, wcale nie zauważył pospolitego głosu w lasach indyjskich. Jadł dalej, machał gołemi nogami i nawet od czasu do czasu wydawał jakieś piskliwe głosy; podśpiewywał sobie podobno, zadowolony. Wtem rozległ się inny słaby krzyk, niepodobny do żadnego ze znanych w europejskim świecie, a jednak wszyscy zadrżeli, bo tak właśnie krzyczało niedawno „niemowlę” pantery wołając matkę do siebie. Ale na nikim głos ten nie wywarł tak piorunującego wrażenia jak na małym indyjskim żarłoku, spadł z drzewa jak kamień, albo jakby spiorunowany i możnaby sądzić że spadł martwy istotnie, gdyby wcale nie zatrzymawszy się po spadnięciu nie popędził jak kula do Piuktu, wśród traw wysokich, których tylko chwianie się w odwrotnym teraz kierunku wskazywało, jak chyżo do rodzinnej chaty z wyprawy swęj na mangową ucztę uciekał, przed mniemaną panterą.

— Mahora!... to ty tak ślicznie udajesz niemowlę pantery? — zapytano śmiejąc się i wybiegając ze wszech stron z gęstwiny.

— Wcale nie, to Wilko ma ten talent, ale stał koło mnie, więc ja tylko „pawim” głosem ostrzegłem was wprzód...

— A więc w drogę co prędzej, kiedy to małe licho uwolniło nas z pod swęj straży.

— A, no tak, tylko... Czy nie lepiej byłoby pozostać tutaj już na nocleg, kiedy się tyle czasu straciło?... Noc zapadnie wkrótce, nagle. A spocząć w każdym razie gdzieś musimy.

— Ale tutaj... jestże bezpiecznie? A nuż mały wróci? Albo kto inny w takiej bliskości od miasta?

— Teraz?... gdy mały w tęg chwili wykrzykuje tam ze wszystkich sił, że widział tutaj panterę ogromną jak koń?... Oho!... teraz nikt tu z miasta przez trzy doby nie przyjdzie, ponieważ pantera, włóczęga z rodu i charakteru, najdłużej tyle czasu w jednej okolicy gościć zwykła. W dodatku, z legowiska starannie jak na nią usłanego i z wielkiej młodości małych, widzę że tutaj to przysły one na świat... a więc możemy być pewni że w całej najbliższej okolicy, niema zwierząt niebezpiecznych, gdyż stara pantera najprzód wypłoszyła je przez troskliwość o swoje małe.

— A więc czyń co uważasz za właściwe, nie po raz pierwszy będziemy ci winni zapewne noc spokojną bez nowego w sercu cierpienia — rzekł Thorn spoglądając na skaleczone czoło Roberta, z którym inaczej byłoby w tęg chwili, gdyby kulka Mahory nie trafiła tak na czas w oko pantery.

— Jakkolwiek Mahora mówi, że dzięki zwierząt tu niema pewno obecnie, przecież mogą one przyjść, więc należy ogień niezniecić jeżeli nocować tu mamy?

— Czy masz ochotę upiec przy nim pieczeń z pantery, John? Wyperswaduj sobie ten apetyt, rozpalać ognisko byłoby to zdradzić się i wydać nieprzyjaciółom naszym.

— No więc jakże?... czyliż porzuci się beużytecznie taką sporą sztukę mięsiwa?... bo zabierać z sobą nie warto... zepsułyby się...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem:

— Jakto? Więc naprawdę o bifsztuku z pantery myślisz? O żarłoku szkaradny!... Tego mięsiwa nikt nie chce jeść, słyssałem tylko że Hotentoci jadają. O, ty!... Hotentocie!.. układaj maty, tu oto i kładź się spać, nie myśląc o panterze na jutro, bo dosyć ma każdy dzień swęj nędzy. Jutro jeżeli go doczekamy prawdopodobnie nie umrzesz jeszcze z głodu, jak dotąd nie umarłeś. Spać dzieci! Ja jeszcze straże rozstawię.

W chwilę później kilkunastu ludzi znużonych daleko bardziej niż się zdawało, bo służący nieśli dosyć ciężkie maty i zapasy, spali smaczno, oprócz Mahory i Roberta, którzy leżeli obok siebie, Robert miał trochę gorączki, a Mahora dumny znów ważnością swą, nieledwie przywódzcy w obecnej podróży, ledwo zdrzemnął się czasami, zanadto był zajęty, aby mógł spać twardo; łączyła ich też stara przyjaźń dosyć częsta pomiędzy piastunami i wychowawcami i dla tego to położyli się przy sobie. Zresztą któż wie czy spali i dwaj rozżaleni starzy ludzie... osieroceni po najstarszych dzieciach, podporach starości.

— Mahora... czy śpisz? — spytał Robert szeptem tak wymiarkowanym, aby nie obudzić śpiącego.

— Nie, a co?... czy bardziej boli to co ta poczwara wypisała szponami panu Robertowi na piersi?... trzeba opatrzyć jeszcze, może się zsunęły obowiązki...

— Leż stary nudziarzu!... ani mi się rusz! Małoś się jeszcze przez cały dzień nakołatał?... nic mię wcale nie boli, tylko trochę jest gorąca noc, więc spać nie mogę...

— Aha!... znam ja się na tem... wcale nie jest zbyt gorąco tylko pan masz gorączkę z ran...

— Powiadam ci że mię nic nie boli, drwię ja z takich ran, byłyby one lepsze, gdybyś wprzód kulki w serce owemu lichu nie wpakował: ledwo już dyszała poczwara gdy ostatkiem sił na mnie skoczyła. Ale słuchajno, czy to prawda co Wilko opowiadał tam przed chwilą przy rozścielaniu mat, Johnowi, o żrenicach pantery? Czy to być może?

— Prawda panie Robercie, widać to przecież w oczach naszég, i u innych zabitych widziałem, bo co żywég, to prawdopodobnie nikt się tak dalece zbliżka nie przypatrywał. W południe żrenica jég jest wydłużona, a cienka jak ostrze noża i stoi pionowo, tak jak wskazówki zegara na cyferblacie, wskazujące godzinę zstają, i zwierzę bardzo mało natenczas widzi, potem żrenica obraca się zwolna za słońcem zwiększając się jednocześnie, o szóstég wieczorem ma postać owalną i leży zupełnie



cią; o północy dopiero żrenica jest najzupełniej okrągła i zwierzę widzi wtedy doskonale.

— Czy to być może? Ja o tem w żadnej książce nie czytałem...

— Nie wiem panie Robercie, powtarzam to tylko co wszyscy u nas mówią i co na własne oczy widziałem u niejednej ubitej pantery.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Sierpień jest miesiącem, w którym po wszyskich polach naszych rozlega się wesoły śpiew żniwiarzy. Przepióreczka oddawna wzywała pracowitych robotników na niwę, w lipcu już rozpoczęto zbiór zboża, ale sierpień samą nazwą swą przypomina nam sierp, a z nim wesołą przodownicę, która, zatknąwszy to godło żniw we włosy, idzie na czele pracowitej gromady po poczęstunek do dworu i śpiewa:

Nasza dziedziczka kieby kwiat róży,  
A w naszym dworze kieliszek duży,  
Nasz pan chleba, ni sera nie pożałuje,  
I żniwiareczki wnet poczęstuje.

Nie wszędzie jednak sierpień jest czasem żniw. Czas ten zmienia się, jak łatwo to zrozumiecie, kochani czytelnicy, stosownie do położenia geograficznego kraju. Otóż obliczono że na naszej kuli żniwa trwają prawie nieustannie, bo zboże dojrzewa w różnych porach. W Australii, Nowozelandyi i w Rzeczypospolitej argentyńskiej, żniwa przypadają na początku naszego roku, to jest w styczniu. Wschodnie Indye rozpoczynają żniwo w lutym a kończą je w marcu. Meksyk, Egipt, Persya, Syrya, sprząta swe zboże w kwietniu. Maj jest miesiącem zbiorów dla Chin, południowej Japonii, Tunisu, Algeru i południowych stanów Ameryki. W Kalifornii w Hiszpanii, Portugalii, we Włoszech, w Grecyi i w południowej Francyi miesiącem żniw jest czerwiec, a w północnej Francyi, w Węgrzech, Austrii i w środkowych stanach Ameryki, lipiec. Kanada, Szwecya, Szkocya, sprząta swe zboża we wrześniu, a w październiku dopiero nadchodzi czas żniw dla północnej Rosyi.

Z tego więc łatwo wyliczycie, kochani czytelnicy, że dwa tylko miesiące w roku wolne są od żniw. W listopadzie i w grudniu nigdzie nie dojrzewa zboże, a tem samem nigdzie pracowity robotnik nie cieszy się zbieraniem swego plonu, przez pozostałe dziesięć miesięcy jest zawsze gdzieś na naszej ziemi jakaś okolica, w której wesoła pieśń żniwiarzy świadczy o radości, z jaką rolnik sprząta owoce swój pracy.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożona przez Ewelinę Dow. dla najdroższej p. Heleny  
Dasz. w dowód uznania jój pracy.

Wyrazów 17. Początkowe i końcowe litery składają przysławie. Sylaby: Kor—sen—In—mel—Ao—Tyf—ty—Me—nie—Ły—Oi—Za—E—Zmrok—In—ko—ty—wiece—pał—Ga—a—Pe—lis—di—Xu—ri—wiece—re—ja—O—Cna—wąż—zon—flan—Es—bal—fez—sła—dro—se—sko.

**TREŚĆ:** Doświadczenia fizyczne (z drzew.). — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, obrazek sceniczny w jednym akcie p. Chr. — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych (z drzew.) — W Indyach (z drzew.) — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Bohater (z drzew.) — Piosnka o wilku, śpiew. — Zaśmienie słońca (dokończenie). — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto należące do Prus. 2. Nazwa pierwotnych mieszkańców Ameryki. 3. Zwierzę ssące z rzędu bezzębnych. 4. Miasto w Azji Mniejszej. 5. Chwila przejściowa. 6. Wewnętrzna warstwa kory. 7. Miasto w okolicach którego znajdują się gisernie Kruppa. 8. Słynny wódz włoski. 9. Dopływ Sekwany. 10. Miasto w pobliżu Dunaju w Bułgarii. 11. Jezioro w ks. Poznańskim w pow. Szubińskim. 12. Rzeka w gub. Twerskiej. 13. Szlachetne uczucie. 14. Dwie samogłoski. 15. Miasto na Kaukazie. 16. Współczesny historyk polski. 17. Nazwa prowincyi nad morzem Bałtyckiem.

### NITECZKA ARYADNY.

od Szarotki alpejskiej dla Cyganeczki.

By	waj	kra	ju	niesz	po	ny	i
mi	wy	ko	nik	wło	wa	mor	na
zdro	cha	stój	ce	bał	skie	jas	gło
ny	wmgli	świs	mią	pta	gdzie	wę	sem
już	nę	szu	stwo	cem	w za	cza	słoń
ły	try	swie	słoń	chod	tym	ce	waj
wia	go	za	nie	ny	by	by	zdrów
ce	lój	po	pia	waj	we	kra	cha
da	grą	za	mi	zdro	ju	ko	ny

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

**Zagadki:**

Poseidon.

### Łamigłównki zgłoszkowej:

Morela — Almanzor — Timbaktu — Emeryt — Matylda —  
Asesor — Termopile — Yacht — Kalahari — Aral.  
Matematyka — Literatura.

### PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA H. WERNICA.

Wyszła z druku nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkółkach początkowych, **cena kop. 25.**



## BOHATER.



— Żeby mama wiedziała, jaki też to śmieszny tchórz jest z tego Edzia! Wszak on, idąc na przechadzkę w góry, trzyma ciągle mamę swoją za rękę, bo zdaje mu się że, jak tylko ją puści, zaraz sam w przepaść wpadnie

— Tak, ale gardzić niem wtedy gdy należy spełnić obowiązek, nie zaś dla próżnej igraszki.

— Ale gdzie tam, przede wszystkim trzeba być dzielnym, pogardzać niebezpieczeństwem — zawołał zwycięzko Stefek podskakując naprzód aby w bohaterskiej pozie stanąć przed mamą.

— Nie chodź tam! — zawołała, lecz było już zapóźno, zie-



Bohater.

i zabije się!... Taki duży chłopiec! Czy też to nie wstyd, moja mamó? — Tak mówił Stefek, stojąc obok mamy na szczycie wysokiej góry, u stóp której bystra płynęła rzeka.

— Nie — rzecze mama — jeżeli ktoś nie jest pełen sił własnych lub rozumu, lepiej czyni, poddając się kierownictwu mądrzejszych i silniejszych, niż gdyby przez zarozumiałość upierał się na samym sobie polegać.

— Ależ, proszę mamy, przecież gardzić wszelkimi niebezpieczeństwem jest główną cechą każdego bohatera!

mia usunęła się z pod nóg Stefka i już spadał w przepaść, gdy mama zdołała pochwycić go za ramię i szarpnąć w tył, tak gwałtownie, że aż upadł na ziemię i ona sama upadła na kolana przy nim. Oboje pozostali tak przez czas niejaki, nie mogąc przyjść do siebie, bo przerażenie siły im odjęło. Dopiero po chwili, powstawszy, mama zdołała, drżącym jeszcze wyrzec głosem:

— Pamiętaj że pierwszym obowiązkiem dziecka, które chce wyrosnąć na znakomitego człowieka, jest odwaga i posłuszeństwo dla starszych.



# Biosnka o Wilku.

Héj, héj, héj, héj! ow - ce w po - le. Je - dzą traw - kę ska - czą w ko - le

A - spo - koj - ne są o wil - ka Choć mu na - nie i - dzie ślin - ka

Wil - ku, Wil - ku strzel - ca się - bój I - na dro - dze tu - nam nie - stój

O - wie - czek też nie po - że - raj W las ich z so - bą nie za - bie - raj.

Héj, héj, héj, héj! owce w pole,  
Jedzą trawkę, skaczą w kole,  
A spokojne są o wilka  
Choć mu na nie idzie ślinka.

Wilku, wilku, strzelca się bój  
I na drodze tu nam nie stój.  
Owieczek też nie pożeraj  
W las ich z sobą nie zabieraj.

Mee — bee — bee — bee.

Biedny owczarz co ja zrobię  
Z wilkiem nie dam rady sobie,  
Żeby też to strzelcy przyszli  
I na wilka z fuzyą wyszli.

Słuchać trąbkę...

Chłopcy patrzcie co się dzieje  
Owce zaszyły aż tam w knieje,  
Patrzcie, wilk już owcę dusi  
Pif-paf! pif-paf! upaść musi.

## Sposób prowadzenia gry.

Wybieramy 5-o dzieci, troje z nich na myśliwych, owczarza i wilka, reszta zaś dzieci tworzy koło i są owcami.

Przy pierwszej strofke dzieci tworzące koło galopują, owczarz chodzi w kole, udając ręką od czasu do

czasu strzelanie z bata, wilk poza kołem skrada się do stada. Przy drugiej strofke dzieci (owce) zatrzymują się i śpiewają wykonywując ruch głową w tył i naprzód udający skubanie trawy. W końcu téj strofki owieczki zaczynają beczeć, gdyż spostrzegłszy wilka, spłoszone galopują dwa (3) razy wkoło, następnie owczarz chodząc wolno śpiewa trzecią strofkę, a wilk tymczasem goniąc owce (galopując w koło za nimi) porywa jedną z nich; koło się zatrzymuje. Po skończeniu śpiewu owczarza słysząc trąbkę, myśliwi wychodzą z ukrycia i śpiewają ostatnią strofkę, na pif-paf strzelają, wilk puszcza owieczkę i pada.

## Urozmaicenie gry.

Do wybranych dzieci dobieramy jeszcze pięcioro innych, jedno z nich jest psem, który razem z myśliwymi wpada udając szczekanie psa (ham, ham); czworo zaś stawiamy w środku jako owce, te skaczą, jedzą (ruch głową), owczarz zaś chodzi między nimi. Reszta zaś dzieci tworzy duże koło, śpiewają, galopują, jak wyżej broniąc wilkowi dostępu do owiec, które wcale nie śpiewają, a tylko od czasu do czasu beczą.



## ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

(Dokończenie).

— Proszę pani — zawołał — pani mówiła że słońce pamięta, a ono zapomniało!

— Nie bój się — odparła śmiejąc się nauczycielka — słońce dobrą ma pamięć, ale zaćmi się dopiero o dziesiątej.

Stasio powrócił do jadalnego pokoju i stanawszy przed zegarem badał pilnie każde poruszenie wskazówek, wmawiając w siebie, że zna się na ich ruchu. Ale wreszcie i dziesiąta wybiła, o czym wątpić nie mógł licząc uważnie każde uderzenie, a słońce ciągle, równie jasno przyświecało, rzucając na stół, ściany i na Stasia samego, całe snopy złocistych promieni.

— Cóż to znaczy? — zawołał wreszcie zniescierpliwiony. Wtem we drzwiach od ogrodu stanęła Marynka z Jasiem na ręku.

— Stasiu — zawołała — proszę wyjść na dziedziniec, popatrzeć jak się zaćmiło słońce. Chłopiec jednej chwili stanął przed domem.

— Nic nie widzę — rzekł płacząc, mrużąc oczy przed rażącym blaskiem.

— Ale bo gołemi oczyma nie dojrzy — tłumaczyła Marynka, a wtem i Staś dostrzegł już gromadkę służących, bacznie patrzących w niebo przez zakopcone kawałki szkła.

Staś spojrział także, przytykając twarz do zasmolonej strony szkła, i z radością ujrzał dużą ciemną plamę na słońcu.

— Oho, niedługo już całe będzie czarne! — zawołał, i pobiegł z nowiną do siostrzyczek.

Dziewczynki kończyły właśnie pisać dyktando polskie. Na widok uczernionego nosa Stasia wybuchły śmiechem, nie wyłączając panny Waleryi.

— Proszę pani — zawołała Helcia, dlaczego to w gazetach nie było, że we wtorek przypada także zaćmienie nosa Stasia.

— To nic — przerwał chłopczyk, stanowczym ruchem rozmazując sadze po całej twarzy. — Wiecie, już zginęło kawał słońca.

Na te słowa dziewczynki zarumieniły się i pytająco spojrzały na nauczycielkę, czy mogą wstać od lekcji? Zaćmienia słońca oczekiwały równie niecierpliwie jak braciшек, chociaż nie dla jednakowych przyczyn, i chciałyby natychmiast pobiedz ku oknu dla przyjrzenia się nieznanemu dotąd widowisku.

Ale panna Walerya zatrzymała je lekkim ruchem ręki.

— Skończmy najpierw dyktando — rzekła z uśmiechem — będzie to mała próba cierpliwości.

W parę minut później Helcia i Jadzia zamknęły zeszyty, a panna Walerya podała im zawczasu przygotowane, zakopcone szkiełko. — Spojrzcie dzieci — rzekła podchodząc do okna.

Patrzyły obydwie, później nauczycielka, wszystkie widziały doskonale dużą ciemną plamę i zauważyły, iż słońce wygląda podobnie jak księżyc na nowiu.

— Przypuszczam, że rozumiecie przyczynę tego zjawiska? — zapytała panna Walerya.

— Rozumiem — odparła Jadzia żywo — ziemia zasłania słońce...

— Nie — przerwała Helcia — to księżyc zasłania ziemię, ale nie, zaraz, wiem, tylko pomyliło mi się jakoś, proszę pani — dodała zawstydzona trochę.

— Widocznie macie pewne pojęcie o tem, ale nie dość jasne, ażeby umieć je wyrazić własnymi słowami, uważam, że nie zawadzi małe objaśnienie w tym względzie. Wiecie, że ziemia nasza ma postać kulistą i pozostaje w ciągłym ruchu. W przeciągu doby, czyli dwudziestu czterech godzin, obraca się raz koło siebie, a w przeciągu jednego roku obchodzi słońce dokoła. W podróży około słońca towarzyszy ziemi księżyc, który podobnie jak ziemia jest ciemnym i świeci tylko światłem pożyczanem od słońca, czyli że jest oświetlonym przez nie. Ziemia i księżyc podróżują więc razem zgodnie, a zapewniam was, że żadne nie zatrzyma się w drodze, nie zostanie w tyle, ani wybiegnie naprzód i nie trzeba ich nawoływać bezustannie, jak to się zdarza na przechadzkach z pewnemi osobkami znanemi dobrze mnie i wam. W czasie tej wspólnej wędrówki zdarza się czasami, że księżyc staje między ziemią a słońcem i zasłania je przed naszymi oczami częściowo, lub zupełnie i wtedy mamy częściowe lub całkowite zaćmienie słońca. Ostatnie całkowite zaćmienie słońca było 1887 roku w sierpniu, ale ponieważ przypadało o piątej rano przepadło zupełnie dla znacznej liczby śpioszków. Astronomowie badający gwiazdy i wszystkie ciała niebieskie, umiają jaknajdokładniej obliczyć czas każdego zaćmienia i bywamy o tem uprzedzani w gazetach, ażeby korzystając z objaśnienia każdy mógł zauważyć ciekawy zawsze widok.

— Proszę pani — spytała Helcia — czemu tylko przez zakopcone szkiełko widać plamę na słońcu?

— Czarny kolor nadzwyczaj chciwie pochłania promienie słońca, wiesz z własnego doświadczenia, że w lecie ciemne suknie grzeją więcej od jasnych; otóż czarna sadza pokrywająca szkło zatrzymuje w sobie promienie zbyt olśniewające nasze oczy i możemy bezpiecznie przyglądać się słońcu, bez obawy zbytowego nadwyreżenia wzroku. Tylko nie należy za przykładem Stasia przykładać nosa do zakopconej strony szkiełka.

Dziewczynki śmiejąc się spojrzały na uczernioną twarz brata, ale ten nie śmiał się wcale, stał przy drzwiach ze spuszczoną głową dziwnie jakoś zafrasowany.

— Stasiu, co się stało żeś tak posmutniał — zagadnęła panna Walerya. Czy cię gniewają nasze żarty? Ale kiedyż bo rzeczywiście śmiesznie wyglądasz z nosem jakby umaczanym w atramencie. Przejrzyj się w zwierciadle, a rozśmiejesz się sam z siebie.

Ale Staś kręcił główką przecząco, jakby chciał powiedzieć, że nos nie obchodzi go wcale.

— Proszę pani — szepnął wreszcie — czy słońce nie będzie dzisiaj całe czarne?

— Nie, moje dziecko — tłumaczyłam właśnie, że dzisiaj jest tylko częściowe zaćmienie, całkowite zdarza się bardzo rzadko, ale cóż ci tak na tem zależy?



## Skrzynka do listów.

— Bo... Marynka mówiła, że będzie ciemno jak w nocy, a że w nocy lekcji niema, więc...

— Pewnie się jej nie nauczyłeś! — przerwała panna Walerya. — Ach, wstyd być takim leniuszkiem, żeby chcieć korzystać z każdej sposobności opuszczenia lekcji. Brzydka to wada mój Stasiu, niedługo skończysz już lat siedm, a tak trudno jeszcze napędzić cię do nauki. No, nauczysz się za to na jutro drugie tyle wierszy, a tymczasem zabierz się zaraz do książki.

I hiedny Staś obmywszy twarz z sadzy zaczął pisać, rzucając od czasu do czasu spojrzenie pełne wyrzutu na słońce, jako na sprawcę swego upokorzenia. Mnie się zdaje jednak, że to nie słońce winno. A wy jak myślicie czytelnicy?

Wiochna z pod Lublina.

### ZAGADKA.

I najtępszego nie zdziwi człowieka,  
Że z rzeki może być ryba.  
Lecz że na odwrót z ryby będzie rzeka,  
Nie każdy to pojmie chyba.

### LAMIGŁÓWKA.

ułożyła Grażyna.

6 8 8 12 6 8 8 17 12 3 7  
7 17 9 9 14 7 17 19 14 9 4  
8 7 10 13 19 1 19 12 19 1 14  
15 18 11 19 1 14 3 14 1 2 5  
16 19 8 17 7 2 19 17 19 4 12

Zastąpić liczby literami i w pionowym kierunku ułożyć 10 wyrazów oznaczających: 1. Ptak drapieżny. 2. Zwierzę domowe. 3. Mały konik. 4. Naczynie do picia. 5. Pasza. 6. Zwierzęta domowe. 7. Zabezpieczenie okien. 8. Broń. 9. Znajdziesz na skłóconem piwie. 10. Przekopanie gór. 11. Mieszkanie bogów. Środkowe litery tych wyrazów czytane w kierunku poziomym utworzą przydomek téj, która niedawno nas opuściwszy, kochała i była kochaną.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Szarady:

T o p o l a.

Lamigłówki kryształowej:

k  
o s a  
p l i k a  
k s i ą ż k a  
k a ż d y  
o k o  
a

Odpowiedź dla siebie kochana **Zorzo** znajdziesz w liście do Królowej Wrózek, który odebraliśmy pierwój od twogo. Znamy zasną matkę naszej drogiój Makolągwy i ją samą widywaliśmy maleńką jeszcze, a już wielce miłą dziewczynkę. Podzielamy też całem sercem boleść wszystkich co oplakują jej stratę. Książki żądane posłaliśmy, ale zdaje się, że nie dotrzymają obietnic tytułu bo jest to po większej części tylko, szereg wzmianek o wielu rzeczach.

Miła nam **Jodełka z nad Noteci** odbierze żądany numer wraz z fotografią. Gołąbka niedługo się do was odezwie i zapewne znajdzie coś zajmującego do doniesienia, bo pojechała z zamiarem zbierania wiadomości, któreby was obchodzić mogły. „*Obrazy z życia roślinnego*” kosztują bez przesyłki rs. 1 kop. 50. Odpowiedzią na to pytanie zaspokajamy, o ile to w naszej mocy ciekawość twoją, Jodełko.

Odpowiedź konkursową **Muszelki z nad Bałtyku** otrzymaliśmy już po oddaniu do druku rozstrzygnięcia ogłoszonego konkursu. A szkoda! widoczne w niej bowiem staranie pisania „jak mogłaś najlepší”. Że zaś zawsze o to nam przedewszystkiem chodzi, więc choć tutaj udzielamy ci słusznie należną pochwałę.

Zawsze o nas pamiętająca **Czeska Niezabudka** skarży się, że dla wieku „wydziedziczona już z konkursów”. Ale zato z serca naszego nigdy nie będzie wydziedziczoną ta, która tak szczerem przywiązaniem płaci nam za usiłowanie przygarńnięcia młodych serduszek.

**Kameleon** wpadł na bardzo oryginalny pomysł; ale łami-główka w takiej postaci zawsze pozostanie nieodgadnioną, podobna jest bowiem do zadania arytmetycznego, w któremby *wszystkie* cyfry pozostawiono niewiadome. Trzeba koniecznie wymienić w każdym razie choć jedną literę, mniejsza o to, którą: początkową, ze środka lub z końca.

W samój rzeczy, **Goryczko** zdziwiło nas to, że od tak dawna niema wiadomości od ciebie; teraz jednak po przeczytaniu twogo liściku widzimy, że jesteś zawsze tą samą, poczciwą, serdecznie *słodką* Goryczką.

**Jaskółce z Czerwonój Rusi** polecić możemy „Teatr amatorski” przez M...a, oraz odznaczone na lwowskim konkursie komedijki p. Grabowskiój.

Z przyjemnością witamy tego **Szarego Wróbla**, który znajomość z nami rozpoczyna od dobrego uczynku, również jak i **Konik z nad morza Czarnego**. Poczciwie to jakieś stworzonka! niech rona szczęśliwie i zdrowo...

Tego samego życzymy **Kotkowi z Podola**, który zamiast dra-pać, głaszcze łapką... kolonie letnie. Ciekawimy, czy to bardzo figlarny kotek?

Najwłaściwiej byłoby zapytać o zdanie o nim **Kropelki rosy** i téj malutkiój Miki. Obie umieją się już litować nad cudzą niedolą!

Umie to także i **Kuropatewka z nad Warty**, która tak niedawno widać nauczyła się pisać. Nie wiemy, ptaszyno, czy doktor Fritsche skorzysta z zaproszenia dla „dwojga dzieci”, ale to wiemy, że ucałowałby cię serdecznie, co też od siebie z przyjemnością czynimy.

**Sz. P. M. Kr.** Żądany numer wysłano dla serdecznój dziecinki, w której tak wczesnie zbudzone ręką matki szlachetne uczucia.

Liścik twój wydrukujemy kochana **Sikorko**, lecz prosimy o cierpliwość, bo mamy ogromny nawał czekającej od dawna korespondencyi.

**P. Włodz. Kr. w Poniew.** Żadaną książeczkę posłaliśmy, lecz na przesyłkę dopłaciliśmy kop. 25; ceny bowiem podane były bez opłaty pocztowej.

**P. A. Pileck. w Białod.** Opłata Przegl. Pedagogicznego półrocznie wynosi rs. 3 kop. 50, Pamiętniki chłopca, Amicis'a wraz z przesyłką rs. 1 kop. 50, pozostaje zatem z przysłanych rs. 7 na opłatę Wieczorów rodz. rs. 2, a że na rok bieżący złożono u nas za Sz. Panią rs. 1 kop. 25, zatem do końca roku należy nam się jeszcze rs. 1 kop. 75.